

ROZDZIAŁ IV

Wrocław i Gross-Rosen

Trudno mi powiedzieć jak długo jechaliśmy... Może 3–4 godziny... Nie wiem też, gdzie się znaleźliśmy, jak zaczęło świtać... To był marzec... Doszliśmy do zgodnego wniosku, że nie możemy „wędrować” w dzień... Mogło to być bardzo niebezpieczne i lepiej nie ryzykować... W pewnym momencie zauważyliśmy, że pociąg wyraźnie zwolnił. Dojeżdżaliśmy do jakiegoś małego miasteczka, a pociąg zbliżał się do semafora. Z jednej strony torów był niewielki las, a z drugiej jakieś ogródki działkowe z altankami. Krótka decyzja... Skaczemy...

Uważaliśmy, że najlepiej będzie jak schowamy się gdzieś w altankach działkowych, i tak zrobiliśmy... Weszliśmy do pierwszego z brzegu ogródka działkowego, mając na uwadze, że jest on położony najbliżej torów, a także, że w razie problemów będzie można myśleć o ucieczce do tego lasu, który widzieliśmy z wagonu. Altana na tej działce, a może raczej mały domek, był wcale nieźle zagospodarowany. Na górze domku znajdował się niewielki stryszek, a na nim leżało jakieś siano i różne bety. Postanowiliśmy tam przeczekać cały dzień. Trochę spaliśmy, trochę rozmawialiśmy i tak czas leciał... Oczywiście, spaliśmy na zmianę. Zawsze jeden czuwał, by nie dać się zaskoczyć, w razie przypadkowego najścia na kryjówkę...

Wieczorem ubraliśmy się, zjedliśmy resztę chleba i wyszliśmy poza ogród. Idąc lasem szczęśliwie ominęliśmy miasto i stację kolejową. Wyszliśmy z powrotem na tory... Podróż, jaką odbyliśmy poprzedniej nocy, bardzo się nam podobała. A może znów uda się złapać jakiś pociąg w kierunku wschodnim... I w końcu doczekaliśmy się takiego pociągu. Bez problemu wskoczyliśmy do wagonu z budką i jechaliśmy na „wschód”, coraz bliżej domu...

Sytuacja taka powtarzała się jeszcze dwa razy... Zawsze udało nam się niepostrzeżenie przeczekać dzień, w lesie lub w opuszczonym domu, a następnie w nocy dostać się do niechronionego składu pociągu towarowego. Owszem, pociąg wybieraliśmy po uprzedniej obserwacji, by przez przypadek nie trafić

na jakichś strażników lub esesmanów... Jak do tej pory, wszystko udawało się nam znakomicie. Nabraliśmy też większej pewności siebie. Jednakże mieliśmy problem, z którym nie wiedzieliśmy, jak sobie poradzić... To był głód... Już dawno skończył się nam chleb, który dostaliśmy od naszych znajomych, a szans na jakieś jedzenie bez narażenia się nie widzieliśmy... Zaczynało być niewesoło...

Głód potrafi w człowieku wyzwolić różne emocje, nawet takie, o które normalnie nie bylibyśmy posądzani... Myślę o odwadze... Nie ma rady, musimy sobie coś zorganizować, po prostu ukraść, bo inaczej nasze marzenie o wolności pryśnie jak bańka mydlana...

Zbliżał się wieczór... Opuściliśmy naszą kryjówkę i podeszliśmy bliżej do zamieszkanym domów. Zwróciliśmy uwagę na jeden z domów, w którym odbywała się jakaś uroczystość, przyjęcie lub coś podobnego... Było tam bardzo wesoło. Ludzie bawili się, śpiewali, a drzwi do domu były otwarte na oścież. Wieczór, jak na tę porę roku, był dość ciepły i mieszkańcy chcieli się trochę pocieszyć i rozweselić. Pomyśleliśmy, że tu może być jakaś możliwość załatwienia czegoś do jedzenia, a może i coś do ubrania. Obserwowaliśmy przez dłuższą chwilę dom... Widać było, że mieszkańcy są zupełnie na luzie i nie zwracają uwagi na otoczenie... A ponadto, z tyłu domu otwarte drzwi, jakby zapraszały do wejścia. Postanowiłem to wykorzystać...

Pozostawiając Józia na czatach, sam wszedłem do środka... Początkowo myślałem tylko o jakimś jedzeniu, ale patrząc, a tu na wieszaku wiszą różne płaszcze. Wziąłem dwa płaszcze i jakieś obuwie, które stało pod wieszakiem i z tymi skarbami uciekłem. Tak się bałem, że w tym momencie zapomniiałem, po co właściwie tam poszedłem.

Odeszliśmy kawałek drogi i wtedy skojarzyłem, że tam było jakieś zejście do piwnicy i też były otwarte drzwi. A może to jest spiżarka? A jak spiżarka to i jedzenie... Odczułem w tym momencie taki głód, że sprawy bezpieczeństwa zeszły na plan dalszy. Ciągle widziałem to zejście do piwniczki... Tam jest jedzenie...

Po krótkiej naradzie postanowiliśmy się cofnąć... Tym razem, już bez zwracania uwagi na otoczenie wszedłem do domu i dobrze znaną drogą na dół, do spiżarki... To, co zobaczyłem przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Spiżarnia okazała się bardzo bogato zaopatrzonej magazynkiem. Wybór był ogromny, ale co brać? W pewnym momencie zrozumiałem, że ilość produktów, które zamierzam zabrać, przerasta moje fizyczne możliwości... Były tam weki, wędliny, mięsa, pieczywo i inne produkty żywnościowe. W końcu jednak się opamiętałem i wziąłem tylko „niezbędną” ilość... Najdziwniejsze, że udało mi się z tym wydostać z domu, a także w sposób niezauważony opuścić miasteczko...

Po obfitym posiłku, powrócił dobry nastrój i nadzieja, że uda się nam zrealizować plan. Widocznie ktoś nad nami czuwa, że mamy do tej pory tyle szczęścia i wszystkie trudności są rozwiązywane na naszą korzyść... Po niedługim czasie znów jechaliśmy „naszą” metodą, dalej na wschód...

Pewnego razu nocowaliśmy w opuszczonym gospodarstwie, w stodole na sianie. Zbliżał się wieczór... Józiu jeszcze spał, więc postanowiłem trochę rozejrzeć się po okolicy... Wyszedłem na podwórko i z przyjemnością cieszyłem oczy podgórskim widokiem. Gospodarstwo było położone na końcu wsi, więc nic mi nie powinno zagrozić...

Niespodziewanie na drogę od strony sąsiedniej wsi, z mojej lewej strony, wyszła kobieta w starszym wieku... Natychmiast przykucnąłem... Niestety, zostałem zauważony. Kobieta dość spokojnie mijała gospodarstwo, ale już po chwili przyspieszyła i prawie biegiem „wpadła” do sąsiedniego domu... Było dla mnie oczywiste, że za chwilę zaalarmuje swoich domowników i powie im o podejrzanym typie kręcącym się w obejściu sąsiadów.

Widząc, co się dzieje, obudziłem Józia i podjęliśmy decyzję o natychmiastowej ucieczce do lasu... Po chwili obejrzałem się... Za nami biegło kilka osób, ale na szczęście były to znacznie starsze osoby od nas. Jako młodzi bez większego problemu zwiększaliśmy odległość między nami a ścigającymi...

W końcu dobiegliśmy do lasu... Robiło się już ciemno i w tej sytuacji ukrycie się nie stanowiło dla nas problemu... Do takiego samego wniosku doszli chyba także goniący, bo po chwili ich okrzyki zupełnie ucichły. My jednak dalej uciekaliśmy... Być może trochę pod wpływem strachu, a także, by oddalić się jak najbardziej od tego nieprzyjaznego miejsca. W pewnym momencie, ponieważ biegłem pierwszy, wpadłem w jakąś rozpadlinę... Jak uprzednio zaznaczyłem, był to teren górzysty i trzeba było być bardziej ostrożnym.

Skarpa była dość wysoka... Spadając uderzyłem się w głowę i straciłem przytomność... Całe szczęście, że Józiu był bardziej ostrożny i zatrzymał się na brzegu. Jakoś bokiem zszedł do mnie i po pewnym czasie mnie ocucił. Wszystko mnie bolało, ale najbardziej głowa. Czułem, jak płyną mi strużki krwi po lewej stronie głowy. Zastanawiałem się, co robi przy mnie Józiu, dlaczego jest tak ciemno, a najgorsze, zupełnie nie pamiętałem, co się z nami działo przed wypadkiem... Józiu był mocno wystraszony i na dobrą sprawę zupełnie stracił ochotę na dalszą ucieczkę. Tym bardziej, że zupełnie nie miał rozeznania, jakie odniosłem obrażenia. Czułem, jak dotyka kolejno moich części ciała i coś do mnie mówi, ale nie bardzo kojarzyłem, o co mu chodzi... W końcu przysunął się do mnie i tak wsparci o siebie doczekaliśmy świtu.

Nadal bardzo bolała mnie głowa, a gdy Józiu obmył mi twarz, okazało się, że mam bardzo stłuczone czoło i rozcięty łuk brwiowy. Najważniejsze, że nie miałem żadnego złamania, ale i tak nie nadawałem się do dalszej podróży.

Potrzebowałem czasu i spokoju, bym mógł dojść do siebie. Wszystkie problemy związane z doprowadzeniem mnie do stanu „używalności” wziął na siebie Józio. Zawsze było tak, że to ja byłem motorem działania i w pewnym sensie brałem odpowiedzialność za nas dwóch. Tym razem to Józio był niezwykle operatywny... Opatrzył mnie, znalazł gdzieś miejsce w nieużywanej altance, pomógł tam przejść, zorganizował żywność i troszczył się o mnie, jak w najlepszym szpitalu... Byłem i jestem mu za to bardzo wdzięczny. Po dwóch, może trzech dniach odpoczynku jechaliśmy dalej...

Było to chyba przedmieście Jeny. Stały tam dość zadbane domki letniskowe. Zdecydowaliśmy się na wejście do jednego z nich. Do środka weszliśmy okienkiem piwnicznym... Było tam pełne wyposażenie i widać było, że ktoś tam niedawno przebywał. Standard wyposażenia wskazywał, że jest to domek kogoś z wyższej sfery. Przespaliliśmy dzień, nie niepokojeni przez nikogo...

Wieczorem, jak zaczęło już się ściemniać, ktoś wszedł na teren podwórka. Wystraszyliśmy się, ale czekaliśmy na dalszy rozwój sytuacji. Okazało się, że ten „ktoś” przyszedł tylko nakarmić króliki i poszedł sobie. Trochę to było dziwne, tu taki wysoki standard wyposażenia, a na podwórku króliki. Być może były to króliki opiekującego się domkiem. Postanowiliśmy dokładnie zobaczyć, co jest w tym domku, może jest coś takiego, co nam się przyda na dalszą drogę. Przejrzeliśmy różne skrzynie i zakamarki. Była pochowana porcelana, bielizna i inne cenne rzeczy. W pewnym momencie, grzebiąc w białźnie, natrafiłem ręką na szafkę z wartościowymi rzeczami oraz z markami niemieckimi. Tych marek było dość dużo, kilka tysięcy. To była dla nas niesamowita gratka. No cóż, zabraliśmy to... W ten sposób mieliśmy ubiór i pieniądze. Mogliśmy poruszać się, jak normalni ludzie...

Wyszliśmy z tego domku i idziemy ulicą... Czuliśmy się jednak, mimo wszystko, trochę skrępowani, więc poszliśmy w kierunku ogródków i ponownie „zadekowaliśmy” się w jakiejś altance...

Wieczorem znowu poszliśmy na tor kolejowy, by udać się dalej na wschód... Postąpiliśmy jak poprzednio, gdyż ta forma podróży wydawała się najbardziej bezpieczna.

Byliśmy już w środkowych Niemczech. Minęliśmy Erfurt i wysiedliśmy przed jakimś miasteczkiem. Idziemy w kierunku miasteczka... W pewnym momencie zauważamy, że idący w naszym kierunku ludzie mają naszyte „P”. Wiadomo, to Polacy... Gdy podeszliśmy bliżej, odezwałem się:

– Przepraszam, że tak zaczepiam... Widzę, że rodacy... Myśmy przyjechali z Polski i chcielibyśmy się tu gdzieś zacząć... To znaczy znaleźć jakąś pracę... Jakie tu są możliwości?...

– Możliwości...? Jak macie wszystkie dokumenty w porządku, to możliwości są duże... Tu wszędzie brak jest robotników, bo miejscowi zostali zabrani

do wojska... – udzielił życzliwej odpowiedzi mężczyzna w średnim wieku, widocznie przewodzący tej grupie.

– No, tak... Ale jest jeszcze jeden problem... Gdzie można byłoby się tu załapać na jakąś kwaterę...? – pytałem, chcąc rozeznaczyć wszelkie możliwości.

– E... Jak nie na długo, to możecie nawet zatrzymać się u nas... – mówił, obserwując nas trochę podejrzliwie. Wyraźnie miał obiekcje, co do naszego wyglądu... Widocznie biedacy z kraju, poszukujący pracy, tak nie wyglądali...

– Nie... Najwyżej na kilka dni... Myślę, że potem coś znajdziemy...

– No, to chodźcie... Tylko od razu mówię, że najwyżej na kilka dni... Bo prawdę mówiąc, nam się tu też nie przelewa... No, ale rodakom trzeba pomóc...

I poszliśmy z nimi. Byli bardzo nieufni... Wyraźnie, coś im nie pasowało w nas i w naszym zachowaniu...

Gdzieś po dwóch dniach zaczęliśmy się zbierać do odejścia. Daliśmy im za pobyt u nich po 50–60 marek. Jak zobaczyli takie pieniądze, to z miejsca stali się bardzo mili i serdeczni... Mimo to, przygotowywaliśmy się do odejścia... Podszedł wtedy do nas ten starszy pan i mówi:

– Panowie... Przecież mówiliście, że będziecie kilka dni, a wy już po dwóch dniach chcecie odejść... Początkowo uważaliśmy, że coś jest z wami nie tak... Obawialiśmy się kłopotów... Widzimy jednak, że jesteście przyzwoitymi ludźmi... Przecież możecie tu jeszcze zostać... W czym problem?...

– Słusznie pan zauważył... Jest mały problem... Idziemy, bo nie chcemy nasarażać... My najzwyczajniej nie mamy żadnych dokumentów, bo uciekaliśmy z Warszawy i nic nie mamy... Tam jest głód i bieda... A chcielibyśmy tu poszukać jakiejś pracy, ale bez dokumentów, to nie da rady... – tłumaczyłem chyba dość zawile, jak na możliwości tego pana...

– Panie... To trzeba było od razu tak mówić... Nie ma sprawy... To tylko będzie trochę kosztować...

– Nie...? Macie takie możliwości...?

– Pewnie... Polacy jak chcą, to wszystko potrafią zrobić... Nawet fałszywe dokumenty... – powiedział i zaśmiał się. – Panowie... Rozpakujcie się i przygotujcie swoje dane „na papierze” i tak na wszelki przypadek, nauczcie się ich dobrze na pamięć... Nigdy nie wiadomo...

Faktycznie, trochę nas to kosztowało, ale załatwili nam podrobione, całkiem niezłe fałszywki... Od tej pory nazywałem się Józef Kostrzewski, a mój kolega Marian Chojnacki... Właściwie, były to podrobione dowody osobiste, Ausweisy, ale bez kart pracy. Wtedy nawet dokładnie nie wiedzieliśmy, że takie *Kenkarty* są prócz dowodu niezbędne, żeby nie mieć kłopotów w czasie kontroli. Kiedy otrzymaliśmy dokumenty, już nie pytaliśmy dalej o pracę,

tylko pożegnaliśmy się i postanowiliśmy podróżować dalej na wschód... Przed wyjściem zapytałem się jeszcze naszego gospodarza:

– Czy może mi pan powiedzieć jeszcze, jak najłatwiej dojechać do Breslau (Wrocławia)... Pod Breslau mam siostrę i chciałbym ją odwiedzić...

– Do Breslau...? – spojrzał na mnie i chwilę się zastanawiając dodał – To proste... Wsiąść do pociągu i jechać sobie... Teraz macie dokumenty, to jedźcie na własne ryzyko... Ale nie przesadźcie przypadkiem...

– To znaczy...?

– Nic nie znaczy... Dziś trzeba na wszystko uważać... O kłopoty nietrudno, tym bardziej, jak się ich szuka na siłę...

W końcu pożegnaliśmy się i poszliśmy na dworzec... Te ostatnie słowa naszego gospodarza jeszcze długo dźwięczały mi w uszach... Co on miał na myśli...? Wsiadliśmy „legalnie” do pociągu i jechaliśmy do Wrocławia, z biletami i dokumentami, jak „normalni” ludzie.

Ostatnie słowa gospodarza wciąż wracały do mnie, jak bumerang... Kiedy zbliżaliśmy się już do Breslau, zobaczyłem na tablicy peronu nazwę miasteczka, do którego właśnie się zbliżaliśmy... Trachenberg (Żmigród)... Trachenberg... Zaraz, zaraz... Przecież to jest właśnie ta miejscowość, gdzie w pobliżu na majątku pracowała moja siostra Wanda. Miałem dokładne informacje, że siostra pracowała w pobliskim „Gärmannengrundzie”¹, jako służąca. Informacje te były pewne, ponieważ pochodziły z ostatniego listu mojej matki, ale było to jednak już dość dawno... Postanowiłem upewnić się, czy ona jeszcze tam pracuje, bo w tych czasach różnie z tym bywało... I to było moje szczęście...

W Żmigrodzie popytaliśmy się, gdzie jest poczta i od razu tam się skierowaliśmy. Zapytałem panią w okienku:

– Czy na majątku w „Gärmannengrundzie” jest telefon...?

– Oczywiście... Czy może połączyć...?

– Tak, poproszę... – potwierdziłem.

Gdy uzyskałem połączenie, zgłosiła się jakaś pani, która przedstawiła się jako pomoc domowa... Zapytałem ją:

– Czy na majątku pracuje gdzieś pani Wanda Widok...?

– Ach Wanda... Nie, nie... Wanda Widok już tu nie pracuje...

– Jak to nie pracuje...? – dopytywałem.

– No, nie... Bo... Bo ona uciekła... I tyle...

– Co takiego?

– No, mówię przecie, że uciekła... A kto mówi...?

– Nikt... – i odłożyłem słuchawkę.

¹ Gärmannengrund, obecnie Domanowice, pow. Trzebnica.

Zauważyłem, że pani w okienku przysłuchuje się mojej rozmowie uważnie... Zwróciłem się do niej z uśmiechem:

– I tak to jest z tymi kobietami... Wyjadą i nawet nie powiadomią...

– Tak czasami bywa...

Pożegnałem się i wyszliśmy z poczty... Idziemy ulicą i trochę rozglądamy się po tym Żmigrodzie... I nagle, na naszych oczach dzieje się coś niesamowitego... Kierowca samochodu ciężarowego, który chciał wyminąć jakąś nieostrożną kobietę z dzieckiem, stracił panowanie nad kierownicą i z całej siły wyrznął w witrynę sklepu... Jak to przy takich okazjach, zrobiło się zbiegowisko gapiów, a także po chwili pojawił się policjant... Policjant poszukiwał kogoś, kto mógłby dokładnie opowiedzieć, jak doszło do wypadku... W pewnym momencie zwrócił uwagę na nas. Podszedł bliżej i lustrując nasz wygląd, odezwał się:

– Co się tu stało...? – zapytał dość ostrym tonem, tak jak gdyby to była nasza wina, że doszło do wypadku.

– *Polen...* – odpowiedziałem odruchowo i zupełnie bez sensu.

Dopiero teraz doszło do mnie, co ja narobiłem... Zamiast odpowiedzieć mu na pytanie, to ja... Widocznie, byłem tak zaangażowany w tę sytuację, która rozegrała się na naszych oczach, albo problem siedział gdzieś w mojej podświadomości i dałem temu wyraz... Oprzytomniałem... Chryste, co ja narobiłem...? Przeszedł mnie nerwowy dreszczyk po plecach...

– Co to znaczy...? Jak to... *Polen...*? – spojrzał zaskoczony na nas.

– No... *Polen... Polen...* My jesteście Polacy... – jąkałem się, by zyskać na czasie, a jednocześnie intensywnie myślałem, jak tu wybrnąć z sytuacji...

– *Polen...* To dlaczego nie nosicie litery „P”...? Coś tu kręcicie... – podnosił głos i obserwował nas coraz bardziej podejrzliwie. – Wszyscy pracujący Polacy na terenie III Rzeszy muszą nosić na piersi widoczną literę „P”... Co, nie słyszeliście o tym...? – prawie krzyczał, coraz bardziej podenerwowany. – Dlaczego nie wykonujecie poleceń władzy...?

– Myśmy... Myśmy... Panie władzo... – zacząłem nieporadnie. – My przyjechaliśmy dopiero co z Warszawy i szukamy tu, gdzieś w Niemczech pracy...

– Co...? Pracy...? *Ausweis* proszę... – warknął.

Podaliśmy mu te nasze „fałszywki” i czekamy z duszą na ramieniu na dalszy bieg zdarzeń. Sprawdza i sprawdza... W końcu wkłada je sobie do kieszeni i zwracając się do nas, mówi:

– No, to musimy sobie trochę spraw wyjaśnić... Proszę ze mną na posterunek... – obrzucił nas nieprzyjaznym spojrzeniem i ruchem brody wskazał kierunek, w którym mamy maszerować.

Idąc zastanawiałem się, jakie mogą być konsekwencje tej wpadki, w dodatku, takiej głupiej wpadki... A tak wszystko się nam pięknie układało, mieliśmy

tyłe szczęścia... A może i tym razem się jakoś uda, przecież mamy chyba dość dobre dokumenty... Tylko, czy nie odkryją, że to fałszywki...? Spojrzałem na Józia... Szedł obok ze spuszczoneymi oczyma, nawet nie spojrzał na mnie... Pomyślałem, że może mieć do mnie uzasadnione pretensje... Kiedyś, już po wojnie, przyznał się, że był trochę zły w tym momencie na mnie, ale szybko znalazł usprawiedliwienie dla mnie. „Przecież, gdyby nie Norbert, w ogóle nie byłoby tych kilku dni fajnego urlopu...” Szybko pogodził się z losem i szedł spokojnie, mówiąc sobie cicho pod nosem: „Co Bóg da, to ksiądz ochrzci...” Taki był Józio...

Na posterunku nastąpiło jeszcze raz sprawdzanie naszych dokumentów. Ten stary wyga czuł, że coś jest nie w porządku. Owszem, nasze tłumaczenie było trochę pokrętnie, ale dokumenty w zasadzie „bez zarzutu”...

– Niestety, jest już wieczór i niektóre nasze urzędy są zamknięte... Nie mogę was wypuścić bez dokładnego wyjaśnienia sprawy... Zatem, do jutra posiedzicie sobie w celi...

– Panie oficerze... – protestowałem. – Za to, że mieliśmy tak dobre chęci jesteście karani...? Przecież nic złego nie zrobiliśmy... Chcemy tylko pracować dla dobra Niemiec...

– Spokój...! – wrzasnął. – Ani słowa więcej... Zrozumiałeś...

– Tak jest...

– Powiedziałem... Jutro sprawdzimy i jak będzie wszystko w porządku, to damy wam możliwość popracowania dla dobra Niemiec...

Powiało chłodem... My już wiedzieliśmy, co to może oznaczać... Czekaaliśmy z niecierpliwością na rano. Czy dopisze nam szczęście i wyjdziemy z opresji, czy też zły passy będzie ciąg dalszy... Niestety, był ciąg dalszy...

Zaczęło się od przeprowadzenia nam ścisłej rewizji... W czasie rewizji znaleźli u nas prawie dwa tysiące marek.

– Jak to jest... Było wam tak źle w Warszawie, a macie tyle pieniędzy...? Skąd je macie?

Wszelkie tłumaczenia, że to są nasze oszczędności, wydały im się nieprawdziwe, a w szczególności, że uciekaliśmy z powodu głodu i braku pracy... Zabrali nam pieniądze i zaczęli sprawdzać dane w dokumentach. Ale sprawdzanie typowo po niemiecku... Dane w naszych dokumentach muszą mieć potwierdzenie w dokumentach źródłowych i w miejscu naszego pochodzenia. Oczywiście, szybko ustalili, że dane w naszych dowodach były wpisane z „powietrza”, a takich ludzi na świecie po prostu nie było. Ludzi o takich danych nie było także w miejscach naszego urodzenia i pobytu oraz w dokumentach urzędowych i kościelnych... Policjant, który nas aresztował, nie ukrywał satysfakcji z tego, że udało mu się przechwycić dwóch, być może niebezpiecznych, wrogów III Rzeszy...

– Znaleźliście się tu, jak ptaszki... Prosto z nieba... Znamy te metody i nie wprowadzicie nas w błąd... – mówił, prawie sycząc. – Przekazujemy was do gestapo... Oni znają takie metody, że nawet zwykłe wróble zaczynają śpiewać...

Nie mylił się, gdyż na gestapo we Wrocławiu przesłuchanie odbywało się w „normalny” sposób... Byliśmy bici i katowani, jak to w gestapo... Bardzo szybko wyłapali nasze błędy w zeznaniach. Między innymi nie mogliśmy wskazać budowy w Warszawie, na której rzekomo mieliśmy pracować itd. W wyniku przesłuchania gestapo nabrało przekonania, podobnie jak policjant w Żmigrodzie, że mają do czynienia ze szpiegami alianckimi... Przesłuchanie nabrało innego tempa... Chciano z nas wydusić przyznanie się do czynów szpiegowskich przy pomocy tortur... Była więc i znana nam już wcześniej „ryczka”, bicie gumowym knutem z kabla, bicie „ręczne” do utraty przytomności, światło w oczy i oczekiwanie godzinami na ciąg dalszy przesłuchania... Cały arsenał nieludzkich metod związanych z „łamaniem” woli i oporu...

Mimo tych metod nie załamaliśmy się i nadal mówiliśmy to, co wcześniej... Wiedzieliśmy, że nie mamy innego wyjścia... Gdybyśmy się przyznali, byłby powrót do „naszego” obozu, potem stanie 3–4 dni przy *Lagerstrasse* z tabliczkami na piersi: „Ja jestem tutaj z powrotem”, a później czekałoby nas publiczne powieszenie albo rozstrzelanie... Wyjście było tylko jedno, trzeba przetrzymać tortury i trwać przy swoim... Trzeba i to jakoś przeżyć...

Z więzienia gestapo przewieziono nas w końcu do więzienia przy ul. Kleczkowskiej². Tam byliśmy około trzech miesięcy. Zupełnie nie mieliśmy pojęcia, co będą chcieli z nami zrobić, a także, czy i te opresje uda się jakoś przeżyć. Przecież zarzuty przeciwko nam były „z najgrubszej rury”, jak to kiedyś powiedział Józiu...

Kiedyś usłyszałem, że poszukują jakiegoś szewca lub kogoś, kto potrafi szyć laczki. Nie mając o tym zbyt dużego pojęcia, zgłosiłem się na ochotnika. Pomyślałem sobie, że jak pójdę do jakiejś pracy, to będzie lepiej niż w tej celi... W celach było bardzo ciasno, brudno i ogólnie mówiąc, nieprzyjemnie... W piwnicy był warsztat szewski, w którym szyliśmy te laczki i bambosze dla esesmanów i ich rodzin. Tak się złożyło, że coś takiego już robiłem w obozie w Siegburgu dla cywili, a między innymi dla Halinki i dla tej Maros. Była to możliwość coś tam dodatkowo w zamian otrzymać. Esesmani widząc,

² Więzienia we Wrocławiu przy ulicy Kleczkowskiej i Sądowej, to punkty zbiorne skazańców z więzień Opola, Strzelc Opolskich, obszaru wschodnich Niemiec i ziem polskich wcielonych do III Rzeszy. Starano się, by przeciętny transport mieścił się w jednym, najwyżej dwu wagonach. Pozwalało to przewozić więźniów bez konwoju esesmanów, którzy dopiero w Rogoźnicy (ok. 60 km od Wrocławia) przejmowali „przesyłkę”. Od połowy 1943 roku uruchomiono na tej „trasie” odpowiednio przystosowany samochód ciężarowy. W konwojach wrocławskich przeważali skazani za ucieczkę z przymusowych robót, nielegalny pobyt na terenie Wrocławia i okolic, sabotaż i inne czyny przeciw III Rzeszy.

że robię dość ładne „kaptcie”, zaczęli składać mi coraz więcej zamówień. W końcowej fazie sam już nie nadążałem z pracą i poprosiłem o pomoc. Wtedy przydzielili mi do pomocy Czecha o nazwisku Zuber, z którym po jakimś czasie nawet trochę się zaprzyjaźniłem... Opowiadał mi dużo o sobie, ja natomiast nigdy nie wspominałem o moich przeżyciach obozowych. Mówił coś, że został zamknięty za udział w partyzantce, ale ja tej jego informacji nie potraktowałem poważnie... Raczej, zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest kimś podstawionym przez gestapo, by uzyskać ode mnie jakieś poufne informacje. Być może, obaj baliśmy się siebie nawzajem...

Po paru dniach przydzielono nam jeszcze do pomocy krawcową, Martę Siejak, która zaczęła nam szyc górne części (cholewki) bamboszy. Ona pochodziła gdzieś spod Rawicza. Produkcja szła pełną parą. Od tej krawcowej dowiedziałem się, że tu przywożonych jest dużo Polaków, których później wywożą do innych obozów. Miała rację...

Po kilku miesiącach względnego spokoju, nagle wiadomość... Transport... Żadnego tam zakończenia śledztwa, sądu itp. Załadowano nas, może 30–40 osób, do „więźniarki” i przetransportowano do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen³. Z Wrocławia jechaliśmy dwie, może trzy godziny. Był to duży obóz, ładna, szeroka ulica prowadząca w głąb... Wielka brama i na niej napis „*Arbeit macht frei*”... Pomyślałem, że zostaliśmy przywiezieni do jakiegoś obozu pracy. Dopiero jak nas wyładowano i wprowadzono za bramę, uświadomiłem sobie, że to jest obóz koncentracyjny. Wrażenie duże i strach... W tym czasie wiedzieliśmy już coś o obozach koncentracyjnych... Nie myśleliśmy jednak, że aż tak może być źle... Gross-Rosen był jednym z obozów najgorszej kategorii⁴.

³ Obóz Gross-Rosen powstał w sierpniu 1940 roku jako filia KL Sachsenhausen, której więźniowie przeznaczeni byli do pracy w miejscowym kamieniołomie granitu. Pierwszy transport przybył tam 2 sierpnia 1940 roku. 1 maja 1941 roku Arbeitslager Gross-Rosen uzyskał status samodzielnego obozu koncentracyjnego.

⁴ W pierwszych dwóch latach istnienia KL Gross-Rosen był małym obozem nastawionym w dalszym ciągu na obsługę kamieniołomu. Mordercza 12-godzinna praca w kamieniołomie, głodowe racje żywnościowe, brak należytej opieki lekarskiej, nieustanne maltretowanie i terroryzowanie więźniów zarówno przez załogę SS, jak i więźniów funkcyjnych powodowały dużą śmiertelność, a KL Gross-Rosen był postrzegany jako jeden z najcięższych obozów koncentracyjnych. Ogółem przez Gross-Rosen – obóz macierzysty i jego filie – przeszło około 125 000 więźniów, w tym również więźniowie nie rejestrowani, przywożeni do obozu na egzekucję, np. 2500 radzieckich jeńców wojennych. Do najliczniejszych grup narodowościowych w obozie należeli Żydzi (obywatele różnych państw europejskich), Polacy oraz obywatele byłego Związku Radzieckiego. Szacunkowa liczba ofiar obozu Gross-Rosen wynosi około 40 000. Od jesieni 1943 do lutego 1945 roku działał na terenie KL Gross-Rosen wychowawczy obóz pracy wrocławskiego gestapo (AEL), przez który przeszło 4200 więźniów. Jednym z najtragiczniejszych okresów w dziejach tego obozu była jego ewakuacja. Podczas, czasami nawet wielotygodniowych, transportów zginęło wiele tysięcy więźniów.

I znów na początku procedura przyjęcia do obozu... Oddawanie swoich rzeczy, wprowadzanie do ewidencji obozowej, łaźnia, golenie, strzyżenie, dezynfekcja i zimny prysznic. Krzyki, bicie, poganianie, wyzwiska towarzyszyły tej ceremonii...

Nasza grupa więźniów z Wrocławia otrzymała ubrania już użytkowane przez innych więźniów. Oznakowanie ubrań było identyczne jak w obozie w Papenburgu. No i tu otrzymaliśmy numery, które zostały wypisane kopiowym ołówkiem na piersi każdego więźnia, do wieczystego zapamiętania. Ja dostałem numer 14 150⁵, który nosiłem aż do wyjścia z tego obozu.

Zostałem przydzielony do baraku VIII. Blokowym był tam Stanisław Kaczyska... Muszę w tym momencie dodać, że przez cały czas pobytu we Wrocławiu, na tych różnych przesłuchaniach nie przyznałem się, że znam język niemiecki. A znałem język niemiecki dość dobrze w mowie i piśmie... W pewnym momencie, gdy w pobliżu przechodził właśnie Kaczyska, powiedziałem do kolegi obok, że ja jestem stary *Häftling*⁶ i znam już te procedury. Usłyszał to Kaczyska... Podszedł do mnie i powiedział:

– Mówisz, że jesteś stary *Häftling*...?

– Zgadza się...

– To, znaczy... Gdzie byłeś...?

– Po prostu... Byłem... – powiedziałem wymijająco, by przez przypadek znów nie narobić sobie kłopotów. Wcale nie chciałem, by to wyszło na jaw, a w szczególności, by się doniosło do władz obozowych.

– Hm... No, skoro tak mówisz... To od dziś będziesz tu *Tischältester*⁷.

– Panie blokowy... Proszę pana... Ja nie chcę pełnić żadnych funkcji...

– Słuchaj... Ja nie pytam się ciebie, czy ty chcesz? Ja cię wyznaczam i kropka...

Jasne...? – powiedział ostrym, nie znoszącym sprzeciwu tonem.

– Jasne...

No i zostałem starszym stołu. Właściwie żadna funkcja, ale i na niej można było „tyłek” umoczyć...

W łaźni otrzymaliśmy tasiemkę, winkiel z literą „P”, co oznaczało, że od tego momentu jestem więźniem o numerze 14 150, Polakiem i więźniem politycznym. Numerki musieliśmy sobie przyszywać, siedząc przy tych naszych stołach... Oczywiście, były wrzaski i krzyki... Poganianie...

W pewnym momencie więźniowie zaczęli się kłócić o igłę, nitkę, bo każdy chciał sobie jak najszybciej przyszyć...

⁵ Patrz zał. nr 7 – Mapa okolic Rogoźnicy oraz zał. nr 8 i 9 – Poświadczenia pobytu w Gross-Rosen.

⁶ *Häftling* – aresztant, więzień.

⁷ *Tischältester* – najstarszy stołu; sprawował pieczę nad 20–50 więźniami siedzącymi przy jednym stole, pomagał blokowemu w rozdziale pożywienia i utrzymaniu porządku w jadalni.

I doszło do awantury... Nie chciałem się w to mieszać... Robiłem swoje, to znaczy starałem się dobrze poprzączyć swoje elementy, by w przyszłości nie oberwać za to, że coś jest nie tak...

Wtedy przyszedł Kaczyska i mówi:

– Co ty... Jesteś starszym stołu i nie reagujesz na brak porządku...? O, bratku... Chodź no ze mną...

Niestety, zaliczyłem kilka batów... Ale to mi pomogło i starałem się później pilnować... W trudnych momentach, zawsze starałem się załagodzić spór, by z tego powodu nie zaliczyć „porcji”...

Wiele procedur w porządku obozowym było podobnych do tych, które poznałem w Papenburgu. Były gorsze warunki, bo przede wszystkim była niesamowita ciasnota... Był po prostu tłok... Na jednym bloku było około 500 więźniów. Mieliliśmy jedno łóżko na dwóch, a później nawet na trzech... Były kary, różne ćwiczenia karne, żabki, kibel i wyrafinowane „treningi”... Wszystko normalnie, tylko w większym rygorze... To powodowało dalsze skutki... Trudniej było się umyć, załatwić, odwszawić, ostrzyć itp. Ale za to było o wiele łatwiej dostać batem, w twarz czy kopniaka, tym bardziej, że funkcyjni byli tu wyjątkowo wszechmocni...

W początkowym okresie musieliśmy wszyscy przejść „musztrę”, czyli takie pasowanie na więźnia... Pierwsze 2–3 dni staliśmy na placu i starszy obozu robił z nami ćwiczenia. Ćwiczenia polegały na tym, że musieliśmy zdejmować czapki, podobnie jak w Papenburgu, oddawać honory esesmanom i ogólnie uczono nas, jak mamy się zachowywać w obozie... Było też przy tym trochę „sportu”, tzn. żabki, pompki, biegi, skoki itp., szczególnie, gdy jakieś z ćwiczeń było nierówno wykonane przez całą kolumnę, czy też zbyt opieszale...

Po kilku dniach ćwiczeń na placu, poszliśmy do pracy. Początkowo byłem przydzielony do komanda zajmującego się przebudową głównej ulicy obozu. Przebudowywano ją i kładziono nowy kamień, taką kostkę...

Pracując kiedyś przy wyrównywaniu podłoża, zauważyłem, że w naszym kierunku idzie starszy obozu. Zacząłem się zastanawiać, skąd ja tego człowieka znam...? Chwilę mu się przyglądałem i olśnienie... Jasne, przecież to Karl z obozu w „*Eiserne Hand*”... Widząc, że nie pracuję tylko mu się przyglądam, pokazał na mnie palcem:

– Czy...? Zarządził tu ktoś jakąś przerwę...? Bierz się do roboty... Bo możesz mieć zaraz kłopoty... – zauważył ostro.

– Karl...? Karl Ebner, prawda...? – zapytałem.

Podobny do tamtego, jak dwie krople wody, ale mógłby być to na przykład jego brat... Zatrzymał się i z zainteresowaniem mi się przyglądał...

– Tak, zgadza się... I co z tego...? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Widzę, że nie poznajesz mnie...

– Chyba już cię kiedyś widziałem, ale tylu ludzi widziałem... – odparł, ale już z mniejszą agresywnością w głosie.

– Bassenheim... Budowa autostrady... – podrzuciłem słowa „wytrychy”.

– Ach, jasne... Tyś to przecież jeździł tą *Lokmaschine*...

– Zgadza się... To ja...

– Przecież, ty tam byłeś *Vorarbeiter*...

– Tam, tak... A tu widzisz... „Jadę” łopatą...

– Widzę... No, tak...

– A nie mógłbyś mi znaleźć tu coś lepszego, jakiejś innej roboty...? – próbowałem wykorzystać nadarzającą się sytuację.

– Lepszego... Tu, coś lepszego... – roześmiał się. – No, zobaczmy... Podaj mi swój numer...

Po dwóch, może trzech dniach, kiedy już powątpiewałem w cichą obietnicę Karla, usłyszałem, że wywołują mój numer 14 150, z poleceniem udania się przed *Schreibstube*... To było biuro ewidencji więźniów... No i poszedłem tam... Na początku zapytano mnie, czy znam język niemiecki w mowie i piśmie. Potwierdziłem... No, to od dzisiejszego dnia będziesz przychodził do komanda *Effektenkammer*... Jak się później dowiedziałem, pracownikami przeprowadzającymi ze mną rozmowę byli Jan Doliński i Jan Nowak, których bliżej poznałem dopiero trochę później...

Następnego dnia po apelu ustawiłem się do komanda *Effektenkammer*. Komando *Effektenkammer* składało się z 5 ludzi. Kapem⁸ tego komanda był Werner Jakobi, z różowym winklem. Był to bardzo porządny Niemiec. Stateczny, miły i bardzo tolerancyjny.

Praca moja w *Effektenkammer* polegała na przyjmowaniu transportów więźniów, ewidencjonowaniu posiadanych przez nich rzeczy i ich segregowaniu. Transport, który przyszedł do obozu był najpierw ewidencjonowany w *Politische Abteilung* (w Oddziale Politycznym), a później trafiał do *Effektenkammer*... Tu były odbierane wszystkie wartościowe rzeczy i jeśli to był obywatel polski, to jego rzeczy, od 1943 roku, szły na ogólną stertę, bez przyjmowania do depozytu. Natomiast inne narodowości, każdy miał swój worek... Polakom nie zakładano ewidencji rzeczy. Ewidencji podlegały tylko rzeczy wartościowe, dokumenty oraz gotówka. Ubrania, które przedstawiały jakąś wartość, w szczególności od ludzi bardziej majątnych, naukowców itp.,

⁸ Kapo – oznaczenie jednej z funkcji pełnionych przez więźniów w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Kapo był szefem komanda roboczego. Na kierownicze funkcje wybierano często przestępców i więźniów brutalnych. Niektórzy słynęli z dużego sadyzmu, zdarzali się jednak wśród nich członkowie ruchu oporu. W zamian za pełnioną funkcję dostawali m.in. dodatkowe porcje żywienia. W strukturze ważności tzw. funkcyjnych fachowych, kapo znajdował się pomiędzy *Vorarbeiterem* a *Oberkapo* występującym w dużych komandach.

też były ewidencjonowane i z numerem więźnia zawieszane w odpowiednich workach na hakach w tej naszej „komorze”.

W *Effektenkammer* pracowałem do końca mojego pobytu w Gross-Rosen. Poznawałem tam też różne tajniki działalności „pozasłużbowej” moich przełożonych... Szefem *Effektenkammer* był *Oberscharführer* Howalt, a jego zastępcą był niejaki Schramm. Howalt pochodził z małego miasteczka Bolkenhain (Bolków), niedaleko od Gross-Rosen. Był to esesman, którego trudno określić... Na pewno nie był sadystą... Bał się wszystkiego, w szczególności swoich kolegów esesmanów...

Moja praca w *Effektenkammer* polegała głównie na sortowaniu bielizny i rzeczy, które oddawane były przez przybyłych więźniów, a także, czasem, na wpisywaniu rzeczy wartościowych do kartotek, ale to robiłem bardzo rzadko. Pracowaliśmy bardzo często także i wieczorami. Transporty przychodziły w różnych porach dnia i nocy, i trzeba było je „obsłużyć”... Tylko w czasie apelów była krótka przerwa, po których natychmiast wracaliśmy do dalszej pracy...

A transporty były różne... Niektóre z nich w ogóle nie były ewidencjonowane, tylko od razu szły do krematorium. O tych transportach trudno mi coś więcej powiedzieć, bo tylko widzieliśmy jak ludzie z nich przechodzili koło nas...

Wielkość transportów była różna, od 40 do 500 osób. Były i małe transporty, które przywożono z różnych więzień, m.in. z Poznania, Wrocławia, Żabikowa, Katowic... Były też transporty Żydów... Szczególnie utkwił mi jeden w pamięci... Był to transport Żydów węgierskich z Budapesztu. Był to niezwykle „bogaty” transport, mieli tak wartościowe depozyty, że aż nasz przełożony Howalt nie ukrywał zdziwienia, chociaż już widział różne bogactwa... Część była ewidencjonowana, ale nie wszystko, jak zdążyłem zauważyć...

Oczywiście, zawsze robili różne machlojki tak, żeby nie było żadnych świadków... Do takich spraw byli dopuszczani tylko bardzo zaufani, jak kapo Werner, szef Howalt i jego pomocnik, względnie drugi esesman Schramm. Czy wszystkie rzeczy zapisywali, raczej jestem pewny, że nie...

Najgorszych przeżyć dostarczyły mi transporty, które dotarły do Gross-Rosen z Powstania Warszawskiego, w których znajdowały się całe rodziny z małymi dziećmi i ludźmi starszymi... To był koszmar... Już w samym obozie dokonywano rozdzielania rodzin... W jednej kolumnie stawały kobiety i dzieci, w innej mężczyźni. Lament i rozdzierające krzyki dzieci odrywanych od swych ojców prześladowały mnie bardzo długo... Sceny, które tam się rozgrywały, trudno mi opisywać nawet po tylu latach. W końcu, mężczyźni pozostali w obozie, a co zrobiono z kobietami i dziećmi nie mam pojęcia, na pewno nie pozostawiono ich w obozie. Myślę, że może nie spotkało ich to najgorsze

i może nie tym razem w Gross-Rosen... Transporty te były jeszcze z jednego powodu ewenementem. Ludzie ci mieli przy sobie bardzo dużo bagażu, jak żaden inny transport. Ponadto mieli bardzo dużo rzeczy wartościowych i całą masę pieniędzy. Pieniądzy tych nie byliśmy nawet w stanie przeliczyć. Krążyły pogłoski, że były to transporty spekulantów warszawskich... Tego jednak potwierdzić nie mogę...

Transporty bywały różne i dziś trudno opisać ile ich było. W ostatnich dniach przychodziło ich naprawdę bardzo dużo... W przeciwieństwie do transportu opisanego wyżej, zdarzały się też transporty ludzi bezpośrednio z ulicy. Nie mieli żadnych bagaży, nie byli przygotowani do długiej podróży, głodni, wyczerpani i wystraszeni... Zupełnie przypadkowi ludzie...

W *Effektenkammer* praca była pod dachem i dość lekka. Ponadto stwarzała różne możliwości „organizowania sobie” różnych przedmiotów i rzeczy, za które, w drodze wymiany, można było sobie uzupełnić wyżywienie i tytoń. Znając język niemiecki mogłem nawiązywać także bliższy kontakt z moimi przełożonymi. Szczególną uwagę zwrócił na mnie esesman Howalt... Wiedziałem, że obserwuje mnie w pracy i zwraca na mnie większą uwagę niż na innych więźniów komanda... Howalt znany był z tego, że był bardzo mało mówny i wstrzemięźliwy w ocenach. Nie ufał nikomu, w tym także i mnie... Odzywał się bardzo rzadko, a jego słowa były nadzwyczaj krótkie i dotyczyły tylko sedna sprawy.

Pewnego razu, gdy przez chwilę byliśmy w *Effektenkammer* tylko z Howaltem, zauważyłem, że idzie w moim kierunku. Podszedł, przez chwilę obserwował w milczeniu jak wypisuję kartotekę... Zdenerwowany, usłyszałem jak mówi do mnie, typowo po swojemu, ale już bez tej służbowej „suchości”:

– Widzę, że lubisz porządek... – zawiesił głos.

– Staram się... – odpowiedziałem, lekko zdenerwowany, bo przecież nigdy nie wiadomo, co w takim człowieku może się obudzić... – Porządku nauczyła mnie już matka i tak zostało...

– Tak... To widać, czy ktoś ma to we krwi, czy nie... – zrobił dziwną pauzę i po chwili, jakby po zastanowieniu, dodał: – Ty masz...

– Staram się... – powtórzyłem, gdyż nic mi innego nie przychodziło do głowy. Nie wiem, czego oczekiwał, ale postanowiłem nadmiernie mu nie „nadszkakiwać”.

– Czy ty wiesz, gdzie ja mieszkam...? – zadał zupełnie niespodziewane pytanie.

– Dokładnie nie... Ale w przybliżeniu tak...

– To dobrze... – powiedział i zrobił małą przerwę, jakby się nad czymś zastanawiał. – Od jutra będziesz wpisany na wartowni, że możesz wyjść do mnie na kwaterę zrobić porządek...

– Tak jest...

– Po pracy, albo wtedy, gdy nie będzie co robić... – prawie że przerwał mi moją odpowiedź.

– Tak... – chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale Howalt wykonał „zwrot” i energicznie odszedł do swego biurka. Po chwili do *Effektenkammer* weszli pozostali członkowie komanda.

Howalt mieszkał w budynku esesmanów, zaraz za fryzjerem esesmanów. Tyle dowiedziałem się od naszego kapo Jakobi. Na prośbę, by powiedział mi dokładnie, gdzie mam iść, odpowiedział z przekąsem:

– Ty chyba zbyt dużo chcesz ode mnie... Pytasz o Howalta...? A kto był już u tego dziwaka? No, ja na pewno nie...

Widząc, że nadal czekam na jakąś informację, dodał:

– Zapytaj tam, u fryzjera... Oni wszystko wiedzą...

Zgodnie z zapowiedzią Howalta na bramie był podany mój numer, a także, że mogę wychodzić do pracy poza bramę. Początkowo chodziłem raz na dwa, trzy dni i głównie zajmowałem się sprzątaniami mieszkania oraz czyszczeniem butów. Starałem się zrobić wszystko jak najlepiej i jak najwięcej, by móc zachować ten przywilej jak najdłużej. W późniejszym okresie wychodziłem z własnej inicjatywy do pracy do tego esesmana. Wykonywałem też coraz więcej prac domowych. Czyściłem mu mundury, prasowałem koszule, czyściłem buty. Oprócz tego, chodziłem, jak był nawał pracy, z jego menażką do kuchni esesmanów po jedzenie. Prawdę mówiąc, praca ta bardziej mi odpowiadała niż praca w *Effektenkammer*... Howalt w domu był bardzo miłym człowiekiem, nigdy nie podnosił na nikogo głosu i naprawdę wspaniale traktował swoją żonę, która od czasu do czasu go odwiedzała.

Howalt był bardzo zdziwiony, gdy po raz pierwszy przyniosłem mu w jego menażce obiad... Wysyłając mnie, tłumaczył się, że chociaż nie jest to mile widziane przez jego kolegów, musi wysłać mnie po obiad, gdyż sam nie może wyjść, bo ma tam coś pilnego do wykonania...

W kuchni esesmanów pracował mój kolega, który razem ze mną uciekł z poprzedniego obozu, tzn. Józio Komisarek, czyli według nowych dokumentów Marian Chojnacki. Tak się złożyło, że jego też rozpoznał Karl Ebner jako więźnia z poprzedniego obozu. Także dzięki jego pomocy i staraniu dostał pracę w kuchni esesmanów. Była to praca, jak na warunki obozowe wręcz wymarzona... Józio, który był z zawodu rzeźnikiem bardzo odpowiadała taka praca, w pokrewnym zawodzie.

Oczywiście, Józio zdziwił się, a trochę i wystraszył, gdy mnie zobaczył pierwszy raz pod okienkiem, gdzie wydawali jedzenie na stołówkę esesmanów.

– Ty tutaj...?

– A gdzie mam iść...? – odpowiedziałem, udając, że rozglądam się za innym punktem wydawania strawy.

– Nie żartuj... Oczywiście, że tu... Tylko... Więźniowie nie noszą posiłków esesmanom... – tłumaczył. – Nawet nie wiem, czy wolno wydać...

– Przestań... Howalt jest zajęty i prosił o „porządny” obiad... A jak masz wątpliwości, to niech przedzwoni twój esesman – szef... jest u siebie... – żartowałem, podając menażkę.

– Jasne, ale jak na dwóch, to powinienś mieć większą...

Po przyjściu do *Effektenkammer* i przekazaniu menażki Howaltowi, czekałem na ocenę obiadu... Howalt był zdziwiony wielkością porcji i ilością mięsa. Gdy już się najadł, podszedł z menażką do mnie i przesuwając ją po stole w moim kierunku powiedział tylko:

– Umyj ją i uważaj...

Wziąłem menażkę i głośno powiedziałem:

– Tak jest... Już idę umyć...

Wziąłem menażkę i wyszedłem ją „umyć”... Oczywiście, przed umyciem dokładnie ją „wyczyściłem” własną łyżką. Dla mnie to był też całkiem „porządny” obiad. Myjąc menażkę, zastanawiałem się, co Howalt miał na myśli mówiąc, bym „uważał”... Czy chciał zwrócić uwagę na pozostałość jedzenia w menażce i bym się nim nie afiszował...? Czy może, było to jakieś ostrzeżenie w szerszym kontekście...?

Muszę przyznać, że obóz koncentracyjny w Gross-Rosen miał dość specyficzne „podłoże” istniejącego terroru, sadyzmu i okrucieństwa... Ton codziennemu życiu nadawali, może bardziej niż esesmani, więźniowie funkcyjni. Na wytworzenie pewnego „stylu” działalności miało wpływ ich pochodzenie i życie przed tym, nim się znaleźli w obozie. Do Gross-Rosen celowo byli kierowani z innych obozów więźniowie Niemcy o przeszłości kryminalnej, najwięksi zbrodniarze, bandyci i przestępcy, którym zamieniono karę śmierci na obóz koncentracyjny. Ich znakiem rozpoznawczym był zielony „winkiel” (trójkąt), od którego zwani byli „zielonymi”, oraz inna, prawie oficjalna nazwa – „BV-er”⁹.

Pierwsze doświadczenia „zieloni” zdobywali katując, mordując i „wykańczając”, przy cichej aprobacie hitlerowców, więźniów politycznych, tzw. czerwonych, uważanych za szczególnie niebezpiecznych dla III Rzeszy. W drodze zasłużonego „awansu” zaczęto obsadzać „zielonymi” wyższe stanowiska funkcyjne w obozie, takie jak *Blockältester*, *Lagerältester* czy *Stubenältester*.

⁹ BV-er – obozowy zwrot biorący się ze skrótu BV – *Berufsverbrecher* – zawodowy złoczyńca, osadzony za przestępstwa kryminalne, czasem niebezpieczny recydywista, przetrzymywany prewencyjnie w obozie koncentracyjnym.

Chętnych na objęcie takich funkcji było prawie trzydzieści razy więcej niż „etatów”... Esesmani umiejętnie wykorzystywali ich zawiść, intrygi, a także specyficzną rywalizację i współzawodnictwo w mordowaniu i torturowaniu bezbronnych więźniów, aby utrzymywać dyscyplinę i „porządek” w obozie... Muszę przyznać, że więźniów Polaków na „wyższych” stanowiskach funkcyjnych było bardzo mało... Tylko czterech czy pięciu przyjęło funkcję „kapo” w komandach pracy i było to raczej związane z ich zawodowymi kwalifikacjami, a nie „zasługami” kryminalnymi... Na pewno zupełnym wyjątkiem był *Blockältester* Witek Mazurkiewicz z Warszawy, u którego na bloku byłem przez kilka miesięcy. Nie wiem, jak to się stało, że został funkcyjnym, ponieważ nie miałem możliwości porozmawiania z nim o tym... Jedno jest pewne, że był to człowiek ułożony i porządny... Do dziś nie rozumiem tylko, jak mu się udawało utrzymać na „funkcji” i jednocześnie traktować więźniów po ludzku... Przecież esesmani mieli dokładne rozeznanie w dokonaniach swoich pupilów i bardzo szybko eliminowali zbyt „miękkich”...

W miarę zmniejszania się zasobów „zielonych”, głównie związanego z ich dalszym „awansem” i nagminnym wcielaniem do formacji SS, zaczęto niższe stanowiska funkcyjne przydzielać więźniom innych narodowości. Większość z nich była selektywnie dobierana według cech charakteru i odpowiedniej, kryminalnej przeszłości. Bardzo rzadko zdarzało się, że na stanowisko funkcyjne został wyznaczony jakiś porządny człowiek... Mogło to tylko mieć miejsce dzięki wyjątkowym znajomościom...

Funkcyjni obozu tworzyli dość hermetyczną grupę więźniów, prominentów obozowych... Wynikało to z faktu, że wszelkie nowe „mianowania” następowały tylko z wniosku samych funkcyjnych. Często odbywało się to na zasadzie „coś za coś”, a także w wyniku wewnętrznych domówień się między „prowodyrami” tego półświatka. Układ taki umożliwiał esesmanom, mimo że w sumie ich grupa była niewielka, utrzymać dyscyplinę i terror wśród tysięcy więźniów. Umiejętnie wykorzystując szansę przeżycia, jaką dawała funkcja, a także wytwarzanie systemowego zagrożenia bycia na funkcji, osiągnęli wręcz ślepe podporządkowanie się ich woli...

Z czasem zasoby „odpowiednich” ludzi zaczęły się szybko wyczerpywać... Front potrzebował nowych rezerw ludzkich, których zaczęto szukać również wśród niemieckich więźniów. Na dodatek, obozy koncentracyjne coraz bardziej się rozrastały, a liczba więźniów rosła i rosła... Dzięki właśnie takiej sytuacji, a także znajomościom, udało mi się zostać funkcyjnym. Wprawdzie funkcyjnym najniższej grupy, ale zawsze... Faktem niezaprzeczalnym też jest, że funkcja ta stwarzała mi pewne możliwości przeżycia... Musiałem także być odpowiednio „wdzięczny” tym, którzy pomogli mi dostać tę pracę, gdyż „łaska pańska na pstrym koniu jeździ” i mogłem ją w równie łatwy sposób stracić...

Pierwszym na liście, któremu musiałem się odplacać, był oczywiście *Lagerältester* Karl Ebner... Pracując w *Effektenkammer* musiałem mu co pewien czas organizować i dawać różne rzeczy. Początkowo myślałem, że załatwiając mi tę pracę zrobił to bezinteresownie, w imię poprzedniej znajomości... Trwało to do pierwszego z nim spotkania...

- No... Jak nowa robota...? – zapytał, mrugając porozumiewawczo.
- Zupełnie inaczej... Można żyć...
- No, widzisz... Tylko... Musisz wiedzieć, że za przydzielenie takiej funkcji, musisz o mnie pamiętać...
- Jak to... – udałem zdziwionego i że nie wiem o czym mówi.
- Jesteś stary *Häftling*, więc nie udawaj, że nie wiesz o czym mówię... – powiedział z lekkim rozdrażnieniem. – Mogę też to szybko naprawić...
- Nie... Przecież wiem...
- Skoro wiesz... To pamiętaj... Dostałeś robotę, a teraz musisz pamiętać, dzięki komu ją dostałeś... – mówił ostrym tonem, nie znoszącym sprzeciwu.
- Zrozumiałeś...?
- Tak jest...
- I nie przejmuj się... Inni też tak robią... – zakończył pojednawczym tonem.

To łączyło wszystkich funkcyjnych... Mieli między sobą różne powiązania i interesy... Biada temu, kto dokonałby zdrady tej tak dziwnie pojętej lojalności wobec grupy wyższych funkcyjnych... Nie wierzę, że esesmani, mając do dyspozycji całe tłumy szpicli i donosicieli, którzy za przysłowiową łyżkę zupy sprzedaliby każdego z więźniów, nie wiedzieli, co wyczyniają funkcyjni... Myślę, że dobrze o wszystkim wiedzieli i sami czerpali z tego korzyści...

Był kiedyś taki przypadek, że zamordowano drugiego *Lagerältestera*, czyli zastępcę tego Karla Ebnera, o nazwisku Kaiser... Kaiser miał wyjść na wolność, a raczej miał zostać powołany do armii i pójść na front... O swojej przyszłości myślał intensywnie przez ostatnie miesiące swojej władzy w obozie... Zasłużył się na tyle dobrze, że przełożeni chcieli go uhonorować, a przy okazji rozpropagować, że potrafią docenić „odpowiedni” wysiłek swoich funkcyjnych. Kaiser jednak myślał nie tylko o tym, jak wyrobić sobie zaufanie i „dobrą” opinię u przełożonych, ale również chciał sobie odpowiednio ułożyć życie cywilne poza obozem. W tym celu, wykorzystując różnych funkcyjnych niższych rangą, jak „kalifaktorzy” czy „blokowi”, ściągał haracz w postaci wartościowych przedmiotów, pieniędzy (głównie dolarów) i złota... Czy to możliwe...? Oczywiście, każdy z nich miał swoje dalsze „wtyczki” u funkcyjnych pracujących przy obsłudze przychodzących transportów, w krematorium czy też w takim *Effektenkammer*...

Istnieją dwie, a może nawet trzy wersje przyczyn śmierci Kaisera, który trochę przeholował w swej zachłanności, a także z zaufaniem do swych

niedawnych kolegów i współników z opanowanej przez nich administracji obozu...

Jedna z wersji mówi, że Kaiser zainteresował się złotem, które nagromadzili podobni do niego zawodowi mordercy, degeneraci i sadyści, jak Emil Radke z bloku XIII, Halske z bloku XVI, Bruno Rehs z bloku XX czy wreszcie sam Karl Ebner... Najważniejszym źródłem pozyskiwania złota były dla nich zęby ofiar palonych w krematorium. Na złoto i kosztowności uzyskiwane z transportów starali się „położyć łapę” sami esesmani... Sprytni więźniowie ukrywali czasem złoto tak, że wstępny przegląd nie dawał żadnych rezultatów, ale te metody zawodziły w „kontakcie” z zawodowcami... W każdym razie, Kaiser uważał, że jego kumple pozostając nadal w obozie, obok takich niewysychalnych „źródeł” złota, będą mieli jeszcze czas odtworzyć swoje zapasy... Zażądał od nich haracz... Wynikła kłótnia i awantura... Rano następnego dnia znaleziono Kaisera utopionego w basenie pomiędzy blokiem V a VIII. Leżał martwy w basenie, trzymając kromkę chleba w ręce. Ta kromka chleba miała stwarzać wrażenie, że został zamordowany przez Rosjan, względnie Polaków, mszczących się za ich traktowanie... W pewnym sensie ta prowokacja się udała... Esesmani przyjęli tę wersję jako prawdopodobną i postanowili pomścić morderstwo... Za ten czyn ponad stu Rosjan i Polaków, zupełnie niewinnych, „uzyskało wolność przez komin”...

Inną, „krążącą” po obozie, wersją przyczyny śmierci Kaisera było dobranie się jego współników do jego bogactw i „oskubanie” go z wszystkiego, czego zdążył się w obozie „dorobić”... Poprosił ich na rozmowę i nastąpił finał, jak wyżej...

Ostatecznie esesmani po wdrożonym śledztwie w tej sprawie, a głównie opierając się na doniesieniach swoich „szpicli”, podali oficjalną wersję, że w wyniku awantury wywołanej zawiścią, został zamordowany jeden z najlepszych funkcyjnych obozu. Sprawcami tego bestialskiego i haniebnego czynu są mordercy – *Lagerältester* Karl Ebner i trzech innych...

Trzeba przyznać, że więźniom Polakom z komanda Blaupunktu i Siemensa znane były niektóre powiązania funkcyjnych Niemców w gromadzeniu wartościowych rzeczy... Było też dla nich jasne, że śmierć Kaisera ma związek z tą działalnością... Postanowili dojść do prawdy we własnym zakresie i ujawnić prawdziwy motyw zbrodni. Tym bardziej, że w ramach represji tylu ludzi poniosło śmierć... Późniejsze szybkie działanie esesmanów stworzyło podejrzenie, że ta śmierć i całe to „przedstawienie” było z góry ukartowane przez esesmanów... Chciano przeciąć nici wiążące ich osobiście z procederem uprawianym przez funkcyjnych... Winnych osądzono i publicznie powieszono... Nawet jak na warunki Gross-Rosen była to historia niezwykła, funkcyjni zamordowali funkcyjnego...

Natomiast Kaiserowi zrobiono ładną trumnę, którą wystawiono koło krematorium... Esesmani i sztabowi złożyli nawet wiązanki kwiatów... Potem trumna ze zwłokami została spalona w piecu krematorium...

Funkcyjni tworzyli tzw. samorząd więźniarski. Nosili na rękawie opaski z odpowiednim oznaczeniem funkcji. Ten, wydawałoby się mały element, „wyróżnik”, już stwarzał w obozowej rzeczywistości pole do pocucia się kimś lepszym od tego tłumu zwykłych więźniów. Już nawet ta maleńka szczypta władzy, gdy trafiła na sadystę i zbrojeńca mogła być groźna i niebezpieczna. Nawet zwykły *Tischältester* czuł, że ma władzę i starał się to pokazać... Dzięki wewnętrznym układom czuli się bezkarni i „mocni”... Byli „pierwsiymi” panami, gdyż mieli nieograniczoną władzę nad życiem współwięźniów. Maltretowali i zabijali więźniów przy każdej nadarzającej się okazji, w ustępach, korytarzach, a nawet w czasie snu, często tylko po to, by przywłaszczyć sobie ich dobre buty, ciepłą bieliznę czy jakiś inny drobiazg... Niektórzy szukali wręcz okazji, by się wyżyć na więźniach... Wymyślali kary i dodatkowe zajęcia, najczęściej w tym czasie, kiedy więźniowie mogli odpocząć i nabrać sił... Często po urządzonym przez nich „sporcie” więźniowie nie byli w stanie wejść sami do bloku i trzeba było im pomóc, czasem wszelka pomoc była już zbyteczna...

Kilku funkcyjnych było szczególnie znanych i „sławnych” w obozie ze swego „rozrywkowego” podejścia do życia więźniów... Był na przykład taki *Blockältester* w bloku XIX, który nazywał się Kurt Vogel... Trudno by znaleźć w obozie większego mordercę niż on... Pasjonował się dręczeniem i maltretowaniem więźniów, a zwłaszcza Polaków... Jego blok miał potoczną nazwę „hotel śmierci”... Pełnił on także rolę czegoś w rodzaju karnej kompanii, przyjmując więźniów na odbycie tzw. kar porządkowych. Do tego bloku byli też kierowani więźniowie za cięższe przestępstwa, jak ucieczka, bunt, spiskowanie czy morderstwo... Vogel rozwiązywał problem „definitywnie”, towarzysząc ofierze do końca... Był na tyle „dobry”, że kierowano do niego wieczorami początkujących *Blockältesterów* w celu doskonalenia metod mordowania...

Na bloku VIII kolejnym *Blockältesterem* był Emil Schwarc, typ patologicznego mordercy, który dla zdobycia papierosa lub żywności mordował kilku ludzi tygodniowo... Sam byłem tego świadkiem, gdyż jakiś czas przebywałem na tym bloku... W późniejszym czasie, bodajże już w obozie w Terezinie, więźniowie dokonali samosądu i zamordowali go...

Byli i inni, jak chociażby Pickel, Kirchmann, Rehs czy Maks Weis, Emil Radke, Rudolf Langer.

Nie chcę tu powiedzieć, że mordowaniem, maltretowaniem i wykańczaniem więźniów na różne sposoby zajmowali się tylko funkcyjni... Nie, nie... Oczywiście przykład szedł z góry... Wieści o różnych ekscesach esesmanów

rozchodziły się po obozie błyskawicznie i jeszcze bardziej podsycaly psychozę strachu i niepokoju o swoje życie...

Ogólnie znane były wyczyny na przykład *Rapportführera* Hellmuta Eschnera... Mordował, zabijał zupełnie bez powodu... Pałał nienawiścią do więźniów i widać było, że maltretowanie ich sprawiało mu sadystyczną przyjemność... Sprawiedliwość upomniała się o niego dopiero po wojnie... Został osądzony i skazany¹⁰.

Kiedyś, będąc w pobliżu *Lagerstrasse*, zauważyłem stojącego jakieś sto metrów dalej Eschnera... Trzymał w ręce skórzany pejcz i bawił się nim, uważnie rozglądając się po okolicy... Na ogół taka sytuacja dla starych więźniów była jednoznacznym ostrzeżeniem, jak nie musisz, nie pokazuj mu się na oczy... W tym momencie zauważyłem, że od strony „rewiru” zbliża się jakiś „skrzywiony” więzień. Prawdopodobnie miał jakieś problemy zdrowotne, które uniemożliwiały mu przyjęcie odpowiedniej postawy w czasie oddawania honoru... Gdy odszedł od Eschnera dwa, może trzy kroki, Eschner uruchomił swój pejcz... Jedno uderzenie w szyję, potem pociągnięcie do siebie za zawiniętą na szyi końcówkę i więzień jak ścięty wyładował pod nogami Eschnera. Eschner dość spokojnie obserwował, jak więzień z ogromnym trudem podnosił się z drogi... Gdy już prawie wstał Eschner przełożył pejcz do lewej ręki a prawą zadał mu potężny cios w brzuch... A Eschner to potężny chłop... Więzień padł jak ścięty i prawdopodobnie stracił przytomność... Eschner podszedł do niego i stając mu na szyi dokończył dzieła... Podsumował krótko „ab”...

Ogólnie znane były też inne wyczyny esesmanów... Był na przykład niejaki Zygfryd Schwarze, który nie lubił mordować więźniów przy użyciu siły, za to pasjonował się topieniem ich w beczce przeciwpożarowej... Inny *Rapportführer*, o nazwisku Schrammel, też miał zwyczaj niebrudzenia sobie rąk bezpośrednio „mokrą” robotą... Wybierał sobie więźnia, a następnie wrzeszcząc na niego, wpędzał go na posterunek strażników, ci kończyli za niego zabawę... A Edward Drauzdowski – niech nie zmyli nikogo swojsko brzmiące nazwisko – silnym, niespodziewanym ciosem w podbródek lub w żołądek zwała więźnia z nóg, a następnie kładł mu na gardle kij i huśtając się, dusił go... Podobnie postępował z więźniami inny esesman o polsko brzmiącym nazwisku Jerzak. Natomiast *Oberscharführer* Krinke wsławił się tym, że w swojej „pakamerze” miał zrobione półki, na których przechowywał czaszki własnoręcznie zamordowanych więźniów...

¹⁰ Hellmut Eschner w 1948 r. sądzony był przez aliancki sąd wojenny i skazany na karę śmierci; wyrok nie został zatwierdzony. W maju 1948 r. sąd powszechny w Hamburgu skazał go na 4 lata więzienia za przynależność do SS. Zwolniony po odbyciu kary i w 1952 r. ponownie aresztowany. W 1953 r. skazany na 12 lat więzienia.

Z *Oberscharführerem* Krinke miałem kilka razy osobiście do czynienia... W pewnym okresie nałożono na mnie obowiązek chodzenia do krematorium, gdzie Krinke był szefem, po meldunki niezbędne do dokonania odpowiednich adnotacji w ewidencji więźniów i ich depozytów. Nieduży, zgarbiony i wiecznie niezadowolony... Zachowywał się poniżej wszelkiej krytyki... Uwielbiał popisywać się swoimi osiągnięciami w „przerobie” krematorium... Czasem tych, którzy przyszli tam pierwszy raz zaskakiwał pokazując, jak zwłoki „ożywają” pod wpływem temperatury... Gdy „widz” nie wytrzymywał, Krinke cieszył się i widać było, że osiąga prawie „rozkosz” z tego powodu... Byłem też świadkiem, jak pracownik krematorium (więzień) z esesmanem Krinke otwierali zmarłym usta i wrywali złote zęby... Często byli to więźniowie, którzy trafili tylko dlatego do krematorium, że któryś z funkcyjnych zauważył wartościowe „wyposażenie” w ich ustach... Ta kruszyna złota była ważniejsza niż życie ludzkie...

Ostatnim *Lagerführerem* w Gross-Rosen był Walter Ernstberger... Elegancki, zawsze w białych rękawiczkach, notoryczny pijak i sadysta... Dla rozrywki szukał ofiar w obozie, by potem móc demonstrować swoje wyczyny i o nich opowiadać swojej żonie... Uwielbiał bić łokciami po żołądku, łamać szczęki, kopać i odbijać nerki...

Po tylu latach nie jestem w stanie wymienić z nazwiska esesmanów i różnych funkcyjnych, którzy mieli na swoim sumieniu wiele ofiar... Jedno mogę poświadczyć... W obozie umierało każdego dnia bardzo dużo więźniów... Przyczyny różne – warunki bytowe, choroby, bicie i zwykłe morderstwa popelniane przez esesmanów i funkcyjnych... Bywały takie dni, że krematorium pracowało „na okrągło” i miało duże problemy z bieżącym oczyszczaniem obozu z trupów... Pamiętam, jak kiedyś przyszedł transport więźniów radzieckich, których nie wprowadzono nawet na baraki, tylko bezpośrednio poprowadzono w rejon krematorium i tam zastrzykami z fenolu lub benzyny zostali najpierw uśmierceni, a potem spaleni... Po zastrzyku więzień szedł jeszcze ze sto metrów, potem się przewracał i to był koniec...

Dla krematorium był to nie lada problem... Więźniowie, którzy nie byli w obozie długo, stosunkowo zbyt dużo ważyli... W tej sytuacji, by nie „zadusić” paleniska, można było położyć tylko jednego zmarłego, a najwyżej dwóch... To bardzo ograniczało przepustowość krematorium... Przetrzymanie więźniów w obozie, chociaż kilka tygodni, doprowadzało do ich „zmuzułmanienia”... A to już umożliwiało położenie na palenisku jednocześnie trzech...

Krematorium to dla nas, więźniów, też był problem... Wiedzieliśmy dokładnie, co znaczy ten ciężki, duszący, o słodkawym zapachu dym, ścielący się nisko po ziemi i po barakach... Wiedzieliśmy, że człowiek tam w ciągu 20 minut zmienia się w kupkę popiołu, potem wywożonego jako nawóz na

okoliczne pola... Wiedzieliśmy też, ilu ludzi trzeba spalić, żeby wytworzyć taki dym... Esesmani dokładnie wiedzieli, jak ta świadomość wpływa na naszą psychikę... To też był element terroru i obezwładniającego strachu... Gdzie tylko mogli, mówili o tym i podkreślali, że „najlepszą i najkrótszą drogą do wolności jest droga przez komin”... Strach, że nie przeżyje się kolejnego dnia, był ogromny... Niczego człowiek nie był pewien, „ani dnia, ani godziny”... Żyło się tylko nadzieją, że mimo wszystko, jakoś się to przetrzyma i doczeka wolności...

Śmierć w obozie czyhała na każdym kroku i w każdej sytuacji... Nieliczni, ci, którzy byli na funkcjach, którzy mieli lepsze warunki, mogli liczyć na przeżycie... Z meldunków, które przynosiłem do naszej *Effektenkammer* wynikało, że dziennie palonych jest od 100 do 200 osób... To wszystko mogli przetrzymać tylko więźniowie o dużej odporności psychicznej i silnej woli przetrwania... Przeżył, mimo wszystko...

Pewnego dnia zostałem wywołany na apel, że mam następnego dnia stawić się przed *Schreibstuba*... Poszedłem tam i zostałem skierowany do szpitala obozowego na tzw. barak V. Kapem w tym „rewirze” był, wcześniej już wymieniany przeze mnie, Rudolf Langer. Zboczeniec seksualny, Niemiec, z różowym winklem... Był zwierzchnikiem całej służby lekarskiej, w tym również lekarzy Polaków, którzy tam pracowali. Między innymi pracował tam też lekarz Jan Nowak, który przyjechał do obozu z Lublina. Po jakimś czasie przyszedł tam także *Oberscharführer* Biedermann... Był to pielęgniarz i esesman, z tzw. *Sanitätsdiensthilfe*... Na sali piętnastoosobowej było nas chyba 14 więźniów... Zupełnie nie rozumiałem celu naszego tu skierowania, ponieważ, mogę to stwierdzić tylko za siebie, byłem zdrowy... Zupełnie zdrowy... Biedermann przeprowadził powierzchowny przegląd zgromadzonych „chorych”, a następnie podobnie zachował się przybyły na „rewir” *Lagerarzt Hauptsturmführer* doktor Entress... Na koniec krótka dyskusja między obydwojema panami i decyzja, zostajemy wszyscy na tej sali, celem dalszego leczenia... Coś mi tu nie pasowało... Wchodząc na „rewir” widziałem, że na sąsiedniej sali leżeli chorzy na tyfus... Ale ja byłem zdrowy, zupełnie zdrowy, więc z czego będą mnie leczyć...? Po chwili przyniesiono nam do wypicia jakiś płyn, nie wiem co to było... Zabroniono nam zadawania pytań i rozmawiania między sobą... Więźniowie zajmujący się obsługą chorych, tzw. ozdrowieńcy, którym udało się przeżyć swoją chorobę, mieli zakaz zbliżania się do naszej sali. Na drugi dzień rano dostaliśmy wysokiej temperatury, a na całym ciele wystąpiła wysypka. Nie wiedziałem, co jest... Były momenty, że traciłem przytomność i majaczyłem. Trwało to trzy, może cztery dni... Dokładnie nadzorował nas osobiście Biedermann. Dwa razy dziennie przychodził i obserwował nas... Często towarzyszył też doktorowi Entressowi. Po paru dniach, trzech

lub czterech więźniów zmarło... Nie znam przyczyny ich śmierci, ale jedno wiem na pewno, że nikt ich nigdy nie badał. Odwiedzający lekarze nigdy nas nie dotykali, a badanie polegało jedynie na kilkuminutowej obserwacji. Nadal każdego dnia, pod nadzorem Biedermanna, dawano nam do spożycia kilka tabletek, które musieliśmy w jego obecności połknąć. Były to tabletki dość duże i trudne do połknięcia. Stał przy więźniu i osobiście dopilnowywał ich połknięcia... „Leczenie” to trwało około 15 dni. Z grupy początkowej 14 osób, przeżyły cztery... A pobyt w Gross-Rosen przeżyły tylko dwie... Ja i więzień, który nazywał się Olgierd Schaefer.

Po tych eksperymentach leczniczych dr. Entressa powróciłem do naszego baraku, a także do pracy w dotychczasowym komando, tj. w *Effektenkammer*. Już pracując, musiałem nadal chodzić przez okres dwóch tygodni na badania do V „rewiru”... W przeddzień wieczorem wypijaliśmy jakiś biały płyn, który przygotowywał Biedermann, natomiast rano zaraz po apelu, pobierano nam do analizy krew i moczu... Wyniki analiz były znane w laboratorium, w którym pracował Polak doktor Ślusarz. Niestety, wszelkie próby uzyskania wiadomości na temat, co one zawierały i czemu miały służyć, spełzły na niczym. Wszystko objęte było ścisłą tajemnicą i groziły „odpowiednie” konsekwencje za ich ujawnienie... Wyniki z laboratorium odbierał osobiście esesman Biedermann i przekazywał osobiście *Lagerarztowi* Entressowi. Cel tych badań, a także ich wyniki, nie są mi znane do dziś... Jedno wiem, potwierdził to także potem lekarz Polak Jan Nowak¹¹, że przeprowadzano na nas jakieś doświadczenia pseudomedyczne... Jakie, tego nie wiedział... Ja natomiast wiem, że przypłaciło je życiem 12 niewinnych i pewnie zupełnie zdrowych więźniów...

Przez okres mojego pobytu na „rewirze” nie miał żadnego kontaktu ze mną także mój kolega Józio. Bardzo się niepokoił i denerwował taką sytuacją... Bardzo się ucieszył, gdy mnie zobaczył i to w dość dobrym stanie ogólnym. Opowiedziałem mu całą historię... Widziałem, że był przejęty moją opowieścią... Gdy skończyłem, powiedział:

– Wiesz... Trochę „działałem”, wykorzystując pewne możliwości, by się do ciebie dostać, albo chociaż dowiedzieć się coś bliżej o twojej chorobie...

– No, i...

– Po tym, o czym się dowiedziałem, myślałem, że już cię nie zobaczę... – mówił wyraźnie „ze ściśniętym” gardłem. – Po pierwsze, tyfus... A po drugie, te doświadczenia doktora Entressa...

– Prawdę mówiąc, też miałem wątpliwości...

– Widzisz... Niemcy boją się tyfusu, jak ognia... Były już takie przypadki, by uniemożliwić rozszerzanie się „ogniska”, wszystkich „przepuszczali przez

¹¹ Patrz zał. nr 10 – Zeznanie świadka dr. med. Jana Nowaka na temat doświadczeń pseudomedycznych wykonywanych na więźniach w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen.

komin”, a teren dokładnie dezynfekowali... Natomiast, jeśli chodzi o doświadczenia... – przerwał, spojrzał na mnie niepewnie, jakby się zastanawiał, czy ma mówić dalej...

– No... Mów, co wiesz... Śmiało... – zachęcałem, będąc autentycznie ciekawym, co się o tym mówi w obozie.

– Doktor Entress to perfidny morderca... A jego doświadczenia najczęściej kończą się źle dla chorych... Wypróbowuje na nich jakieś własne mikstury, po których więźniowie „muzułmanieją”, umierają, albo tracą wzrok i zdrowie... – spojrzał na mnie, w głosie wyczułem wahanie...

– A co najgorsze... – przerwał i chwilę nad czymś się zastanawiał.

– Mów, wreszcie... Co najgorsze...?

– To nie musi być natychmiast... – spojrzał na mnie przepraszająco. – Tak słyszałem... – dodał po chwili.

– Jasne... I co jeszcze słyszałeś...? – naciskałem.

– E... Na ten temat, to tyle...

– A na inny...?

– Okazuje się, że ten Entress pochodzi... Wiesz skąd...?

– Nie... Ale, co ci ten Entress tak wszedł do głowy...? – zapytałem, bo wydało mi się dziwnym, że akurat na jego temat Józiu ma tyle do powiedzenia.

– Bo zajmował się osobiście tobą... A w dodatku to twój kraj... – uśmiechnął się, zadowolony ze zdziwienia w jakie mnie wprowadził.

– To znaczy...?

– Pochodzi z Poznania... Tam też ukończył medycynę...

– Co ty...?

– Tak słyszałem... Słyszałem również od „jednego”, który to widział... Kiedyś Entress wizytował przybyły transport więźniów... Gdy dowiedział się, że jest to właśnie transport więźniów z Fortu VII w Poznaniu i z Żabikowa koło Poznania, zainteresował się nimi bardziej niż zwykle. Stał i przyglądał się tym wychudzonym i zmaltretowanym ludziom... W pewnym momencie drgnął i powiedział coś jak... „to niemożliwe”. Podeszedł do jednego z więźniów, chwilę mu się przyglądał i powiedział:

– Ty... Ty, jesteś przecież profesor... – rozpoznając w więźniu swojego dawnego nauczyciela.

Profesor spojrzał na twarz Entressa, a później na jego esesmański mundur.

– Myli się pan... Nie jestem żadnym profesorem...

– Ha, ha... – roześmiał się Entress i wskazując na niego ręką w skórzanej rękawiczce, zapytał:

– No, to... Powiedz mi... Kim jesteś z zawodu...?

– Byłem urzędnikiem...

– Kłamiesz... Pamiętam cię przecież dokładnie... Ty jesteś profesor...

– Nie... Nie jestem profesorem... Byłem zwykłym urzędnikiem...
– Ja wiem na pewno, że profesor jest zwykłym więźniem... – zakończył swoją opowieść Józiu.

– A Entress jest zwykłym mordercą... – dodał po chwili.

Nie znam dalszych losów pana profesora, który miał niewdzięczną przyjemność najpierw wyksztalić zbrodniarza, a potem jeszcze się z nim spotkać w takiej sytuacji... Natomiast o doktorze Entressie wiem tylko tyle, że został po wojnie schwytany i osądzony za swą działalność w Gross-Rosen i Oświęcimiu (gdzie również był lekarzem obozowym) na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok został wykonany w więzieniu w Landsbergu... Tak powinni kończyć wszyscy kaci, oprawcy i mordercy...